



R E L A C J A

Nazywam się Romana Gruber-Zych, urodziłam się 1 maja 1923 r. we Lwowie jako córka Katarzyny i Juliana Gruberów. Jestem lwowianką od wielu pokoleń. Mam wykształcenie średnie.

We Lwowie mieszkałam od urodzenia, tam też byłam uczenicą Państwowego Gimnazjum Kupieckiego, które po 1939 roku zostało przekształcone na 10-latkę. Ukończyłam ją w 1940 roku. Do wybuchu wojny mieszkałam z rodzicami i siostrą w dorych warunkach.

Wkraczanie Armii Czerwonej zachowałam w pamięci jako najczarniejszą chwilę mojego życia. Chociaż obfitowało ono później w wiele przykrych a nawet dramatycznych momentów, dzień kiedy na ulicach Lwowa pojawiły się sowieckie czołgi, był koszmary. Razem z wojskiem napłynęła fala cywilów o mongolskich niekiedy twarzach, wszystko cuchnęło dziegciem, potem, w ogóle wschodem. Prawie natychmiast rozpoczęły się aresztowania a niebawem wywózki. Każdej nocy można było spodziewać się tzw. "perewierki" czyli rewizji, a co za tym idzie - aresztowania pod byle pozorem. Nastął głód. Całe rodziny na zmianę stały od wieczora do rana w kolejkach pod sklepami, aby kupić chleb czy cukier. A była to już późna jesień. Ileż namarzałam się w tych kolejkach.

Natychmiast zaczął wychodzić "Czerwony Sztandar", dziennik, którego parę egzemplarzy mam dotąd w domu. Opluwanó w nim wszystko co polskie. Prym wiedli w tym Żydzi polscy i rosyjscy. Żydzi i Rosjanie^{po-}zajmowali wszystkie kluczowe stanowiska, jednym słowem otworzyło się im niebo, niektórzy wołali do nas: "Już nie mawaszey Polski!" - W szkołach i instytucjach odbywały się nieustanne "mityngi", na których prelegenci uświdamiiali nam jakie to wielkie szczęście nas spotkało, jak dobrze będzie nam się żyć w wolnym bogatym kraju, jakim jest Rosja sowiecka.

Zważywszy, że wojna trwała tak krótko i nagle znaleźliśmy się pod zaborem, byliśmy całkowicie oszołomieni i przygniećeni tą nagłą zmianą w naszym życiu. Nie mogło się nam w głowie pomieścić, że sklepy są puste, że nie można niczego kupić. Także nie mogliśmy zrozumieć, dlaczego np. zegarki są przedmiotem pożądanowości zaborców, dlaczego ich kobiety chodzą po mieście /już latem/ w nocnych koszulach kupowanych u nas na tzw. "Paryżu" czyli placu targowym. Poza tym paradoksalne były nieraz ich pogardliwe określenia Polaków jako narodu mało kulturalnego skoro nie ma w całym mieście ani jednej odwszawialni.

Z początku my młodzi nie zdawaliśmy sobie sprawy z niebezpieczeństwa, jakie nam grozi. Np. w pierwsze ich święto Rewolucji wygoniono nas ze szkoły na pochód z czerwonymi flagami, podobiznami Stalina i innych dostojników. A myśmy powtykali te flagi w ziemię na skwerach, a sami poszliśmy do kościoła.

Nie zapomnę też pierwszych Zaduszek w 1939 roku. Nikt niktogo nie namawiał, niczego nie organizował, a przecież parę tysięcy młodych ludzi znalazło się wieczorem na cmentarzu Obrońców Lwowa, gdzie po zapaleniu świec śpiewaliśmy pieśni patriotyczne. Było to chyba dla samych zaborców zaskoczeniem, ponieważ nikt nie interweniował i - jak mi wiadomo - nikogo nie aresztowano.

A wywózki szły całymi dniami. Do Kazachstanu wywieziono kilka moich koleżanek szkolnych /listy stamtąd mam w swoim archiwum/. Wrogami nowego ustroju byli nauczyciele, wojskowi a raczej ich rodziny, bo oni sami byli już albo na zachodzie albo w drodze do Katynia.

Do żadnej organizacji konspiracyjnej nie należałam, choć moi koledzy byli już w tę pracę zaangażowani.

Pewnego dnia wyszłam z moim psem na spacer. Pies był piękny, rasowy i zawsze nosił przy obroży kolorową kokardkę. Sama nie wiem po co. Może taka była wtedy moda. Otóż tego właśnie dnia miał on kokardkę czerwoną. Szłam spokojnie ulicą Na Bajki i w pewnym momencie usłyszałam okropny wrzask i zobaczyłam wychylającego się z okna sowieckiego żołnierza, który krzyczał, że "mnie ubije i sobaku ubije!" - Nie wiedziałam o co chodzi, wzięłam psa na ręce i szybko uciekłam w stronę domu, słyszałam dudniące za mną kroki. Dopadłam mieszkania i wtedy zrozumiałam, że ta czerwona kokarda na psiej szyi tak rozwścieczyła sowieckiego patriotę. Szybko o tym incydencie zapomniałam.

Dnia 3 stycznia 1945 roku w nocy obudził nas łomot do drzwi. Ojciec otworzył - wtoczyło się do przedpokoju kilku uzbrojonych żołdaków z nakazem rewizji /mam ten dokument/. Wszystko w domu poprzewracali, kartkowali książki, otwierali szuflady i szafy, ale nic podejrzanego nie znaleźli. Mimo to kazali mnie i ojcu ubierać się i zarekwirowali zegarki, złoto, radio i moją małą szkatułkę, w której przechowywałam kilka bardzo ładnych rubinów przeznaczonych na lepsze czasy, aby sobie zrobić pierścionek. Zabrali nas na komisariat, gdzie było już wiele osób.

Panował taki tłok, że siedzieliśmy z ojcem na korytarzu przytuleni do siebie, przerażeni.

O świcie wsadzono nas na ciężarówki i zawieziono do więzienia przy ul. Łąckiego. Więzienie to miało swoją okrutną historię. W czerwcu 1941 roku po zajęciu Lwowa przez Niemców okazało się, że w pośpiechu Sowieci nie bacząc na nic i nie wiedząc, gdzie podziąć uwięzionych ludzi, po prostu ich zamuroвывali w celach. Było to koszarne. Niemcy przy pomocy Polaków rozbijali te mury. Z cel wypadały ciała w rozkładzie. Mimo to rodziny szukały swoich bliskich wśród pomordowanych. Feter był tak okropny, że całe miasto cuchnęło, bo nie tylko na ul. Łąckiego cele były zamurowane, w innych więzieniach było to samo. Naoczni świadkowie twierdzili, że zamuroowano ludzi żywych oszczędzając amunicję.

Tak więc znaleźliśmy się w więzieniu. Rozdzielono nas, kobiety pognano w jednym kierunku, a mężczyzn w drugim. Zdażyłam tylko pożegnać się z ojcem, którego już nigdy nie zobaczyłam.

W jakiejś ponurej sali pobierano odciski palców, później kazano rozebrać się do naga i jeszcze raz robiono rewizję w sposób obrzydliwy i drastyczny. Wtedy Rosjanka przeprowadzająca tę operację zauważyła na moim palcu pierścionek z perłą, który udało mi się jakoś ukryć w czasie rewizji w domu. Zdarła mi go z palca i schowała do papierowego worka, gdzie były już umieszczone przedmioty zabrane z domu. Dostawaliśmy pokwitowania na zabrane w depozyt rzeczy, ale było to jeszcze w domu, stąd mój pierścionek nie był w kwicie depozytowym wymieniony.

W końcu zadźwięczwały, zazgrzytały umieszczone co parę metrów żelazne kraty, poprowadzono nas w kierunku cel. Moja miała nr 304. Była mała, ciemna i cuchnąca. Goła podłoga, w kącie prymitywna ubikacja. Stłoczono nas tak wiele, że nocą ciała ciasno przylegały do siebie. Każdy dzień więzienny był podobny jeden do drugiego. Rano kubek wody pojemności pół litra, co miało nam służyć tak do picia jak i umycia się. W południe zupa, wieczorem kawałek ciemnego chleba i trochę czegoś, co miało imitować herbatę. Dniem i nocą pod sufitem paliła się żarówka, co parę godzin strażnik otwierał wizjer i obserwował celę. Monotonie tych dni - a było ich trzydzieści - przerywało śledztwo. Wzywano nas przeważnie w nocy na przesłuchania. Żadawano wtedy idiotyczne pytania, stawiano bzdurne zarzuty.

I wtedy to dowiedziałam się, że jestem groźnym wrogiem Związku Radzieckiego, bardzo niebezpieczną jednostką, ponieważ ośmieliłam się poniżyć narodową barwę zakładając psu na obrożę czerwony "bantik" /wstążkę/.

W celi obok mnie miała miejsce urocza osoba - pani Stanisława Stawska. Całe godziny rozmawiałyśmy ze sobą o sprawach dalekich od naszego nieszczęsnego położenia, o domu, o książkach, poezji, byle tylko nie myśleć o tym co z nami się dzieje i co dziać będzie.

Po miesiącu od aresztowania porozdzielano nas do innych cel, ale na jeden dzień tylko. Wtedy straciłam z oczu p.Stasię i już nigdy jej w życiu nie spotkałam. Była widocznie wywieziona do innego obozu. O świcie wyprowadzono nas z cel i kazano zabrać wszystkie swoje rzeczy.

Na dziedzińcu więziennym były już przygotowane ciężarówki, które zawiozły nas na dworzec Czerniowiecki i tam wpakowano nas, a raczej upakowano ciasno w bydłowych wagonach. Długo trwało to załadowywanie ludzi. Dopiero nocą transport ruszył. Mimo pełni zimy, w ten dzień we Lwowie była chyba odwilż, pamiętam rozmokły śnieg pod nogami. W miarę oddalania się od Lwowa w wagonie było coraz zimniej. Dręczyło nas pragnienie i głód. Ten straszny głód. W końcu z hukiem otwarto a raczej rozsunięto wejście do wagonu i podano nam wiadro lodowatej wody i suche, małe śledzie. I to wszystko. Tak nas karmiono przez całą drogę. Drogę w niewiadome.

Dnia 11 lutego wagony zatrzymały się i zaczęto wyładowywać z krzykiem ludzi podobnych raczej do szarych cieni, brudnych, wymęczonych i głodnych.

Znaleźliśmy się na rozległym stepie pokrytym może metrową warstwą śniegu. Mróz był przejmujący. Zamajaczyły jakieś budynki. Ale zanim dostaliśmy się do nich przez wielką bramę, trzeba było stać przez długie godziny na mrozie zanim nie wyczytali wszystkich kolejno i nie przepuścili przez bramę. Były dwa duże murowane budynki oddzielone od siebie drewnianym płotem. Strona żeńska i męska. Latryna była na pograniczu tych dwu części dziedzińca. Dano nam trochę jakiejś ciepłej cieczy i poupychano w tzw. "kamerach". Były to pomieszczenia zabudowane jakby pomostami z desek o dwu kondygnacjach. Z ulgą padłam na te deski. Było ciepło wewnątrz. Po pewnym czasie wyszłam pod ten graniczny płot, aby dowiedzieć się, gdzie jest mój

ojciec i tam dowiedziałam się, że właśnie tej nocy, kiedy staliśmy już u celu, zmarł i po obdarciu go z odzieży został wyrzucony na śnieg obok wagonów.

A potem były codzienne wielogodzinne apele na dziedzińcu, tak sobie, aby "Polaczków zahartować". W końcu ubrano nas w podarte i zawszawione kufajki i pognano przez step do kopalni. W pierwszym dniu, aby nas jeszcze bardziej upokorzyć, kazano nam kopać doły dookoła kopalni, wbijać słupy i drutować tak, abyśmy sami sobie budowali klatkę, z której dopiero po długich, katorżniczych miesiącach zaczęto nas grupami wypuszczać na wolność. /Reszty moich przeżyć nie opiszę. Jest tego bardzo wiele. Szczegółowo opisuję to w moich wspomnieniach jeszcze nie dokończonych/.

Miejscem mojej zsyłki był Krasnodon, mała miejscowość w Donbasie. Kopania nazywała się "2-Bis". Kiedyś wpadła mi w ręce powieść Fadiejewa pt. "Młoda Gwardia". Akcja powieści rozgrywa się właśnie na terenie kopalni "2-Bis" w Krasnodonie w czasie okupacji niemieckiej, a treścią jej są losy młodych ludzi /niiby autentyczne/, członków organizacji pod nazwą Młoda Gwardia. Wszystko, co napisał ten czwartorzędny pisarz, jest wytworem jego fantazji z wyjątkiem topografii okolicy dość wiernie oddanej. W kopalni pracowaliśmy z Rosjanami, ale nigdy żaden z nich nie wspomniał o tej młodzieżowej organizacji, której według Fadiejewa niektórzy członkowie zostali schwytani przez Niemców i żywcem wrzuceni do szybów. Zresztą wiadomo mi, że ta patriotyczna bujda przeszła do historii rosyjskiego ruchu oporu. Tak się buduje u nich historię.

Bloki obozowe otoczone drutem kolczastym i strzeżone przez wojsko dzień i noc w umieszczonych na każdym rogu wieżyczkach identycznych z tymi, które były w Oświęcimiu, zostały podobno zbudowane w 1940 roku przez Polaków, jeńców wojennych. Podobno w męskim bloku znaleziono napisy na ścianach świadczące o tym.

Warunki życia w obozie były bardzo ciężkie. Nękał nas ustawiczny głód, wszy, no i ciężka praca. Po 12 godzin pracowaliśmy w kopalniach wykonując wszystkie prace związane z prymitywnym zresztą wydobywaniem węgla. Normą było wydobyć 30 ton w czasie jednej szychty. Należało tych 30 ton urąbać kilofem, albo oczyścić z kamienia, a co było najgorsze - przewieźć podziemnymi korytarzami /około 2 km/ urobek w wózku żelaznym ważącym również około tony.

Tak te 30 obowiązkowych ton urastało do 60 doliczając ciężar wózka do jego zawartości.

Obóz znajdował się na wielkim stepie, pustym, porośniętym małym karłowatym piołunem. Ani jednego drzewka, jedynie daleka przestrzeń i horyzont przetykany stożkowatymi hałdami na kształt piramid. Od obozu do kopalni szliśmy chyba godzinę, oczywiście pod uzbrojoną strażą. Byliśmy skrupulatnie liczeni przed wyjściem z obozu, po dojściu do kopalni i po wyjściu z niej. Lato było jeszcze znośne, jeśli chodzi o tę drogę, ale zimą gdy przemoczone kufajki po wyjeździe na powierzchnię zamarzały na nas - a mrozy były wielkie - słychać było chrzęst zlodowaciałych szmat stanowiących nasze ubrania.

Do obozu przywieziono nas 11 lutego 1945 roku w liczbie około 3 tysięcy. Jesienią tegoż roku była przy życiu już tylko połowa. Poza drutami obozowymi zakopywano zmarłych bez pozostawiania jakiegokolwiek znaku. Tak oto step stał się wielkim cmentarzem polskim, którego już nikt nigdy nie znajdzie. Step zarósł piołunem, czas zrobił swoje.

Kontyngent obozowy stanowił przekrój społeczeństwa, a więc lekarze, profesorowie naszych uczelni, urzędnicy, kobiety bez zawodu - matki i żony zabrane nocą z własnych domów. Byli też rzemieślnicy, uczniowie, stare i chore kobiety, była baronowa Roessler, emerytowana śpiewaczka naszej operetki Felicja Brzeska, artysta malarz Krzyżanowski, praczki, dozorkynie, prostytutki i złodzieje /wiele nazwisk, fotografii i dokumentów zgromadził dr Stanisław Krzaklewski/.

Latem 1945 roku widzieliśmy całkowite zaćmienie słońca /dokładnej daty nie pamiętam, ale jest to do ustalenia/. Spektakl niesamowity tymbardziej, że niebo było bez chmur i szeroki horyzont. Ktoś pozbierał kawałki szyb, zadymialiśmy je i mogliśmy prześledzić cały przebieg zaćmienia. Oczywiście oglądali je tylko ci, którzy w tym czasie nie byli 350 metrów pod ziemią, na szychcie. Mimo całkowicie czystego nieba zaczęło się lekko zmierzchać i było jak przed burzą. Drobnym stepowym piołunem przybrał całkiem inny, bardziej intensywny kolor, stopniowo robiło się coraz ciemniej. Cała tarcza słoneczna stała się szarym krążkiem. Trudno mi dziś określić jak długo trwało całe zaćmienie, a w każdym razie było to piękne i stanowiło jakiś ewenement w naszym szarym życiu.

Zresztą jedyne co było naprawdę na tej strasznej katordze to rozpinające się nad naszą rozpaczą i bezsilnością - niebo.

Niebo tak bogate, tak czyste i gęsto usiane gwiazdami. Zimą, z mroźne poranki, kiedy godzinami staliśmy na apelu, mimo głodu i przymarznienia nóg do zwałów śniegu oglądaliśmy z zachwytem przepiękne różowe zorze, jarzące się słupy światła. Raz wydawało się nam, że blaski ułożyły się na niebie w trzy świetliste krzyże.

Jak już wspomniałam, społeczność obozowa była tak różnorodna, że właściwie można by powiedzieć, że składały się na nią wszystkie warstwy społeczne. Natomiast - co ciekawe - jednostki na pozór zdrowe i silne ulegały i ginęły z powodu różnych chorób, natomiast niektórzy chorzy wracali do zdrowia. Np. pani cierpiąca od wielu lat na kamice żółciową przestała odczuwać jakiegokolwiek dolegliwości. Gruźlik przyniesiony do obozu na deskach - już wiosną wychodził z bloku, a po zwolnieniu spotykałam go we Lwowie jako całkiem zdrowego człowieka. Myślę, że było to działanie w pierwszym wypadku głodówki, a w drugim klimatu.

Jeśli chodzi o kontakty ze światem - nie mieliśmy żadnych. Niektórzy Rosjanie pracujący z nami w kopalni domagali się adresów naszych rodzin, aby tą drogą skontaktować nas z bliskimi, ale inny tubylec ostrzegł nas, że adresy są potrzebne do wyłudzania paczek dla siebie a nie dla więźnia, który bez zastanowienia da swój adres.

Koniec wojny został nam ogłoszony świtem 10 maja, kiedy to nasz naczelnik obozu kazał wszystkim ustawić się na dziedzińcu i oświadczył, że "wajna akończena, my pobiedili germańca!" Ale wcale nie oznaczało to wypuszczenia nas na wolność. Nadal była praca w kopalni, przesłuchania, śledztwa. Dzięki zaprzyjaźnionej ze mną docent Wandzie Kowalskiej stałam się łącznikiem między śledczym a więźniami i przestałam pracować w kopalni. Do moich obowiązków należało wypełnianie kartotek, wzywanie na przesłuchanie, co miało zazwyczaj miejsce w czasie wymarszu do kopalni. Wtedy nadużywałam zaufania mego szefa i dodawałam do listy parę osób, które i nie szły do kopalni i nie były przesłuchiwane. W panującym - jak to u nich - zawsze bałaganie uchodziło mi to jakoś dość długo. W końcu mój "śledowatiel" zainteresował się moją sprawą, długo kręcił swoją kałmucką głową nad "sobaczką z krasnym bantikiem" i w rezultacie tego przedstawił prokuratorowi - a była nią gruba wielka baba - moje oskarżenie jako całkiem głupie.

Dzięki temu późną jesienią w grupie 35 osób zostałam uwolniona od winy i kary. Samo zwolnienie było również nie pozbawione perfidii. Wygoniono naszą grupę poza obóz tak niespodziewanie, że nie zdążyliśmy zabrać swoich znikomych tłumoczków z bloku. Ale współwięźniowie podawali nam je przez płot utykając gdzie się dało maléńkie karteczki do swoich rodzin. Takim to sposobem po powrocie do domu każdy z nas biegał po mieście przekazując wiadomości o tych, którzy jeszcze w obozie zostali. W tym szczęśliwym dniu przetrzymano nas od rana do wieczora poza obozem i o zmroku jeden ze strażników wydał nam na drogę suchego śledzia "na głowę" i powędrował z nami do stacji Krasnodon, skąd pociągiem dostaliśmy się do Woroszyłowgradu, do tamtejszego urzędu NKGB. Zapomniałam na wstępie zaznaczyć, że jedyny podział, jaki istniał między więźniami, polegał na tym przez kogo byliśmy aresztowani. NKWD aresztował osoby podejrzane o złodziejstwo, prostytutkę itp. współpracę z Niemcami. NKGB /odpowiednik naszego UB/ zajmował się przestępcami politycznymi. Do nich właśnie i ja należałam - jak opiewał mój "paragraf" - antysowiecka agitacja.

Do Woroszyłowgradu przybyliśmy z przygodami, ponieważ nasz konwojent nie wykupił dla nas biletów, ukradł pieniądze i po dostarczeniu naszej grupy do NKGB zwiął i zniknął bez śladu. W Wołoszyłowgradzie koczowaliśmy kilka dni na podwórzu tego urzędu, gdzie wypisywano nam zwolnienia i dano wspólny bilet na drogę. Znowu dano po śledziu i kazano się wynosić. Parę dni turlaliśmy się po mieście zanim trafiliśmy na pociąg jadący do Charkowa. Charków znowu stał się miejscem szukania pociągu do Lwowa. Spaliśmy na chodnikach, w bramach, dniem chodziliśmy po mieście, na bazarze sprzedawaliśmy co kto miał, aby przeżyć. Ja sprzedawałam moją jedyną koszulę. Byliśmy przyodziani w nasze obozowe łachy, ale nikt nie zwracał na nas uwagi. W końcu dostaliśmy się do pociągu Charków-Lwów i nocą po dwóch dniach jazdy byliśmy w naszym ukochanym mieście.

/Romana Zych/

Wrocław, dnia 31.07.1989 r.